

## Rozdział pierwszy

W czasach rządów Hiszpanii oraz przez wiele lat później Sulaco z gospodarczego punktu widzenia nigdy nie było ważniejsze niż port kabotażowy, w którym rozwijał się tylko dość ożywiony lokalny handel skórami wołowymi i indygiem – choć bujne piękno tutejszych gajów pomarańczowych świadczy o tym, jak stare jest to miasto. Niezwrotne pełnomorskie galeony zdobywców potrzebowały silnego wiatru, by w ogóle ruszyć z miejsca – tkwiły zatem nieruchomo tam, gdzie nowoczesne jednostki kliprowe potrafiły sunąć naprzód dzięki byle podmuchowi w żagle – nie mogły więc zawijać do Sulaco ze względu na sztyle panujące często w rozległej zatoce. Istnieją na świecie porty, do których dostęp utrudniają zdradliwe skały podwodne i przybrzeżne burze, Sulaco natomiast nienaruszalny azyl przed pokusami świata handlu znalazło w uroczystej ciszy głębokich wód Golfo Placido niczym w olbrzymiej, półkolistej, pozbawionej dachu świątyni otwartej na ocean, której ściany, czyli strzeliste góry, poobwieszane były żałobnymi draperiami chmur.

Ostatnią formację przybrzeżnego łańcucha górskiego po jednej stronie tego szerokiego łuku na poza tym prostym wybrzeżu Republiki Costaguany stanowi niepozorny przylądek zwany Punta Mala. Ze środka zatoki w ogóle go nie widać, lecz górujące nad nim w głębi zbocze stromego wzgórza da się wypatrzyć z trudem niczym cień na niebie.

Po drugiej stronie na tle oślepiającego blasku horyzontu unosi się lekko coś, co przypomina pojedynczy płąt niebieskiej mgły. Jest to półwysp Azuera, dziki chaos ostrych skał i kamiennych tarasów poprzecinanych pionowymi żlebami. Sięga daleko w morze niczym nieobrobiony kamienny łeb, który wyrasta z odzianego w zieleń wybrzeża, wieńcząc smukłą piaszczystą szyję porośniętą gęstwiną ciernistych zarośli. Jest całkowicie bezwodny, albowiem na całym półwyspie deszcz spływa od

razu do morza i nie ma tu podobno nawet dosyć gleby, by mogło na nim wyrosnąć chociażby jedno źdźbło trawy, jak gdyby tutejszą ziemię wyjąłowała klątwa. Biedacy, którzy za sprawą nieokreślonego, a zwodniczego instynktu kojarzą bogactwo ze złem, powiedzą wam, że ten półwysep jest martwy, ponieważ kryje zakazane skarby. Prosty tutejszy lud – peoni z *estancias*, *vaqueros* z nadbrzeżnych równin i potulni Indianie zmuszeni pokonywać wiele mil w drodze na targ z wiązką trzciny cukrowej albo kosztem wartej nie więcej niż trzy pensy kukurydzy – dobrze wie o stosach lśniącego złota spoczywającego w półmroku głębokich przepaści rozszczeplających kamienne tarasy Azuery. Fama głosi, że w dawnych czasach wielu poszukiwaczy przygód straciło życie, próbując odnaleźć ten skarb. Podobno ludzie pamiętają też jeszcze, jak kiedyś dwóch wędrownych marynarzy – być może *Americanos*, a z całą pewnością *gringos* – skaptowało sobie pewnego *mozo*, nicponia i hazardzistę, i we trzech ukradli potem osła, który dźwigał dla nich wiązkę chrustu, skórzany bukłak z wodą i zapasy żywności na kilka dni. W takim właśnie trzyosobowym składzie, zatknąwszy rewolwery za pas, zaczęli sobie karczować maczetami drogę w ciernistym gąszczu na przewężeniu półwyspu.

Następnego wieczoru na niebie powyżej ostrej grani kamiennego łała po raz pierwszy za ludzkiej pamięci ujrano bijący w górę, choć ledwo widoczny kłęb dymu – który mógł pochodzić jedynie z ogniska tej trójki. Załoga przybrzeżnego szkunera stojącego w sztilu o trzy mile od ładu ze zdumieniem wpatrywała się w ten dym aż do zmroku. Czarnoskóry rybak, mieszkaniec samotnej chaty nad pobliską zatoczką, widział początek wyprawy i wypatrywał jakiegoś sygnału ze strony jej uczestników. Gdy słońce chyliło się już ku zachodowi, zawołał swoją żonę – oboje przyglądali się dziwnemu, złemu omenowi z zazdrością, przerażeniem i niedowierzaniem.

Bezbożni poszukiwacze przygód nigdy już nie dali znaku życia. Marynarzy, Indianina i skradzionego *burro* nikt więcej nie zobaczył. Jeżeli chodzi o owego *mozo*, mieszkańca Sulaco, to kilka mszy za jego duszę opłaciła żona, natomiast nieszczęsny czworonóg, ponieważ był bez grzechu, najprawdopodobniej dostąpił przywileju śmierci – lecz dwaj wciąż nieumarli upiorni *gringos* mieszkają ponoć po dziś dzień pośród skał

spętani zgubną klątwą swojego łupu. Ich dusze nie są w stanie wyrwać się z ciał trzymających straż nad znalezionym skarbem. Są teraz bogaci, lecz głodni i spragnieni. Taka to osobliwa legenda powstała wokół duchów tamtych *gringos* – najpewniej buntowniczych heretyków, gdyż chrześcijanin wyrzekłby się skarbu i został wyzwolony – cierpiących straszliwe męki w swych wygłodniałych i wyschniętych na wiór powłokach cielesnych.

Oni to zatem są legendarnymi mieszkańcami Azuery, strzegącymi zakazanych bogactw. Cień na niebie z jednej strony, z drugiej zaś okrażył płat niebieskiej mgiełki, zamazujący jasną linię horyzontu, wyznaczają tu dwa najbardziej odległe punkty zatoki, noszącej nazwę Golfo Placido – Zatoki Spokojnej – o ile bowiem wiadomo, na jej wodach nigdy jeszcze nie dął mocny wiatr.

Statkom płynącym z Europy do Sulaco zaczyna brakować silnej bryzy, natychmiast gdy tylko przekraczają wyobrażoną linię łączącą Punta Mala i Azuerę. Jednostki te stają się ofiarami kapryśnych podmuchów, które igrają z nimi nieprzerwanie czasem przez trzydzieści godzin. Leżące dalej wejście do zatoki przez większość dni w roku wypełnia wielka masa nieruchomych mętnych chmur, lecz w zdarzające się rzadko bezchmurne poranki na powierzchni morza kładzie się inny cień. Świt wstaje w tych stronach wysoko za wyniosłą, zębatą ścianą Kordylierów, a dobrze widoczne ciemne szczyty dźwigają swe strome tarasy ze strzeżonego piedestału lasu porastającego nawet kraniec wybrzeża. Na błękitnym tle majestatycznie wznosi się wśród innych wierzchołków białych czub Higuerothy – jej gładka kopuła śnieżna usiana jest mikroskopijnymi czarnymi plamkami nagich skupisk gigantycznych skał.

Później, w południe, kiedy słońce wypiera z zatoki cień gór, z leżących niżej dolin wytaczają się chmury. Ich posępne kłaki spowijają gołe urwiska ponad zalesionymi zboczami, zakrywają szczyty i snują się burzowymi szlakami po śniegach Higuerothy niczym dym. Kordyliery znikają z oczu, jak gdyby się rozplywały, tworząc wielkie tumany szarych i czarnych oparów, które z wolna suną w stronę morza i na całej długości wybrzeża ulatniają się w piekielnym upale dnia. Topniejący kraniec zwału chmur zawsze stara się dotrzeć na środek zatoki, chociaż rzadko

mu się to udaje. Jak powiadają żeglarze, pożera go słońce. Tylko czasami od wielkiej masy kłębow pary wodnej odrywa się ciemna piorunowa szpica i krąży nad całą zatoką, aż wreszcie ucieka poza Azuerę, ponad otwarte wody, gdzie nagle wybucha płomieniem i rozbija się niczym złowieszczy napowietrzny okręt piracki unoszący się powyżej horyzontu, aby nawiązać kontakt bojowy z morzem.

W nocy masa pozostałych chmur wiszących wyżej na niebie dławi całą cichą zatokę nieprzeniknioną ciemnością, w której słychać odgłosy zaczynającego się i kończącego jak nożem uciął ulewnego deszczu – raz tu, a raz tam. Tutejsze pochmurne noce stały się wręcz przysłowiowe wśród marynarzy na całym zachodnim wybrzeżu wielkiego kontynentu. Niebo, ziemia i morze znikają z tego świata, gdy – jak głosi miejscowe powiedzenie – Golfo Placido pod osłoną swojego starego poncza układa się do snu. Nieliczne gwiazdy widoczne wciąż poniżej marsa na czole firmamentu świecą anemicznie jak w wejściu do czarnej jaskini. W jej ogromie pod waszymi stopami płynie niewidoczny statek, a jego niewidzialne żagle trzepoczą wam nad głową. Nawet oko samego Boga – tu marynarze dodają ponure bluźnierstwo – nie zdołałoby dojrzeć, co tam wyprawia człowiek. I choćbyście nawet bezkarnie wezwali na pomoc diabła, ciemność aż tak bezdenna zniweczy i jego złe moce.

Brzegi zatoki są strome na całej jej długości. A tuż poza welonem chmur, naprzeciwko wejścia do portu Sulaco, pławią się w słońcu trzy niezamieszkane wysepki noszące wspólną nazwę: Isabele.

Należą do nich Wielka Isabela i okrągła Mała Isabela, a także najmniejsza Hermosa.

Ta ostatnia mierzy nie więcej niż stopę wysokości i jakieś siedem kroków średnicy, a jest parującym niczym rozpalony żużel po deszczu zwyczajnym płaskim wzgórkiem szarej skały, na którym przed zachodem słońca nikt nie chciałby stanąć boso. Na Małej Isabeli nad gruboziarnistym piaskiem szeleści upiornym pękiem martwych liści stara postrzępiona palma o grubym, pękatym, ostrym od kalców pniu, prawdziwa wiedźma wśród palm. Z kolei Wielka Isabela ma źródło świeżej wody wypływającej z zarośniętego zbocza wąwozu. Wyspa ta przypomina szmaragdowozielony, długi na milę klin ziemi leżący na morzu na płask,

i podtrzymuje dwa stojące blisko siebie drzewa otoczone szerokim kręgiem cienia u stóp gładkich pni. Przebiegający przez całą szerokość wyspy wąwóz jest cały krzaczasty, głęboko wcięty na jej wyższym zboczu i ciągnie się na drugą stronę w formie płytkiej depresji wychodzącej na niewielki pas piaszczystego brzegu.

Z tego niskiego krańca Wielkiej Isabeli wzrok sięga przez otwierającą się dwie mile dalej niespodziewaną szczyrbę, jak gdyby wyrąbaną toporem w równym półkolu wybrzeża, prosto do portu w Sulaco. Jest to podłużny basen przypominający jezioro. Z jednej strony niskie zalesione odnogi i doliny Kordylierów zbiegają pod kątem prostym aż na brzeg, z drugiej zaś otwarty widok wielkiej równiny Sulaco przechodzi w opalizującą tajemnicę gigantycznej dali, nad którą wisi sucha mgiełka. Natomiast samo miasto – szczyty jego murów, kopuła wielkiego gmachu, błyski białych wieżyczek w kolosalnym pomarańczowym gaju – położone jest pomiędzy górą i równiną, stosunkowo niedaleko portu, i pozostaje ukryte przed bezpośrednim spojrzeniem od strony morza.

## Rozdział drugi

Jedyną oznaką działalności handlowej w porcie widoczną z plaży Wielkiej Isabeli jest tępy, kwadratowy kraniec drewnianego mola, które Oceanic Steam Navigation Company, nazywana w skrócie kompanią OSN, przetrzymała nad płytką częścią zatoki wkrótce po tym, gdy postanowiła uczynić Sulaco jednym ze swoich portów pośrednich w Costaguanie. Państwo to posiada ich kilka na długiej linii brzegowej, lecz wszystkie z wyjątkiem Cayty, ważnego ośrodka morskiego, są albo małymi i niewygodnymi zatoczkami w jak gdyby odlanym z żelaza tutejszym wybrzeżu – na przykład Esmeralda leżąca sześćdziesiąt mil dalej na południe – albo po prostu otwartymi redami narażonymi na wiatr i przybojowe fale.

Być może to właśnie warunki atmosferyczne, które utrzymywały floty handlowe minionych epok z dala od Sulaco, skłoniły kompanię OSN do tego, ażeby zmącić spokój tego azylu ochraniającego senne życie w mieście. Zmienne wiatry wiejące niezbyt silnie w wielkim półkolu wód aż po półwysep Azuera w niczym nie mogły umniejszyć parowej potęgi wspaniałej floty spółki. Rok w rok czarne kadłuby jej statków sunęły w tę i tamtą stronę wybrzeża, wpływały do portów i wypływały z nich, mijały Azuerę, wszystkie trzy Isabele oraz Punta Mala, obojętne na wszystko poza tyranią czasu. Nazwy jednostek kompanii OSN obejmujące całą mitologię stały się powszechnie znane na wybrzeżu, na którym bogowie olimpijscy nigdy wszak nie rządili. „Junona” słynęła więc tu tylko dzięki wygodnym kabinom na śródokręciu, „Saturn” ze względu na dobrodusność swojego kapitana oraz malowane i pozłacane luksusy salonu, natomiast „Ganimedes” przystosowany został głównie do transportu bydła, pasażerowie żeglugi przybrzeżnej powinni byli zatem raczej go unikać. Nawet najuboższy Indianin z najbardziej zapadłej wioski znał

„Cerbera”, małego czarnego kopciucha pozbawionego wdzięku i wartych choćby najmniejszej wzmianki wygód, którego zadaniem było zakradać się w głąb wybrzeża wzdłuż zalesionych plaż, płynąc w pobliżu potężnych, brzydkich skał, przystawać usłużnie pod każdym skupiskiem chat i ładować na pokład wszystkie miejscowe towary, w tym nawet trzyfuntowe porcje kauczuku pakowane w zawiniątka z suchej trawy.

Nazwa OSN budziła niezwykle wysokie zaufanie społeczne, jako że spółka rzadko kiedy nie była w stanie się rozliczyć nawet z najmniejszej paczki, bardzo rzadko traciła jakiegось powierzonego sobie wołu i nigdy się nie zdarzyło, aby z jej winy utonął choć jeden pasażer. Mieszkańcy utrzymywali, że pod opieką kompanii ich życie i dobytek są bezpieczniejsze na wodzie niż w domostwach na lądzie.

Zarządzający wydziałem żeglugowym na całą Costaguanę kierownik OSN w Sulaco był niezwykle dumny z rangi swojej firmy. Ujmował jej pozycję w krótkim podsumowaniu, które często padało z jego ust:

– Nie popełniamy błędów.

W stosunku do kompanijnych pracowników podsumowanie to przybierało jednak formę surowego upomnienia:

– Nie wolno nam się mylić. Nie dopuszczę do jakichkolwiek uchybień, bez względu na to, co może zrobić Smith.

Ów Smith, którego miejscowy kierownik w życiu nie widział na oczy, był drugim kierownikiem OSN rezydującym jakieś półtora tysiąca mil od Sulaco.

– W ogóle mi o nim nie mówcie.

Potem kapitan Joseph Mitchell, czyli właśnie kierownik OSN z Sulaco, uspokojał się nagle i z wystudiowanym lekceważeniem porzucił temat.

– Smith wie o tym kraju nie więcej niż małe dziecko.

„Nasz znakomity señor Mitchell”, jak określano go w kręgach handlowych i urzędniczych w Sulaco, albo „Marudny Joe”, jak nazywali go dowódcy innych statków kompanii, chlubił się bowiem swoją dogłębną znajomością ludzi i spraw w tym kraju – *cosas de Costaguana*. A za najbardziej niesprzyjającą okoliczność dla sprawnego funkcjonowania firmy uważał częste zmiany rządów zachodzące w wyniku przewrotów o charakterze wojskowym.

Miejscowa atmosfera polityczna tamtych czasów była na ogół burzliwa. Zbiegli wcześniej z kraju patrioci należący do partii pokonanych posiadli dziwną zdolność powrotu na ojczyście wybrzeże i potrafili przywieźć na parowcach nawet pół ładowni lekkiej broni i amunicji. Biorąc pod uwagę, że w chwili ucieczki znajdowali się w całkowitej nędzy, kapitan Mitchell uważał ich zaradność za prawdziwy cud. Jak zauważał, „wcześniej nigdy nie mieli przy sobie dość grosza, żeby zapłacić choćby za bilet na wyjazd z kraju”. Wiedział, co mówi, gdyż pewnego pamiętnego dnia zwrócono się do niego z prośbą, żeby ocalił życie dyktatora, a także kilku wyższych dostojników z Sulaco – szefa gabinetu politycznego, dyrektora urzędu cel i komendanta policji – będących członkami obalonego rządu. Po przegranej bitwie pod Socorro nieszczęsny señor Ribiera (takie nazwisko nosił ów dyktator) popędził, jak mógł najszybciej górskimi szlakami w nadziei, że wyprzedzi hiobowe wieści – lecz w żadnym wypadku nie mogło mu się to udać na kulawym mule. Ostatecznie zwierzę padło pod nim na końcu promenady, gdzie wieczorami w przerwach pomiędzy jedną rewolucją i drugą grywa orkiestra wojskowa.

– No więc, szanowny panie – opowiadał Mitchell ze złowrogim namaszczeniem – niefortunny koniec żywota tego muła zwrócił uwagę na nieszczęsnego jeźdźca. Rozpoznało go kilku dezertarów z armii dyktatora znajdujących się wśród łajdackiego motłochu już zajętego wybijaniem szyb w gmachu intendencji.

Wczesnym rankiem tego samego dnia przedstawiciele władz Sulaco, pozostawiwszy miasto na łasce rewolucyjnej hulastry, poszukiwali schronienia w biurach spółki OSN mieszczących się w solidnym budynku blisko miejsca, gdzie molo wybiega w morze – a ponieważ pospólstwo nienawidziło Ribierę ze względu na surowe zasady poboru do wojska, które musiał wprowadzić z uwagi na sytuację wewnętrzną w czasie walki o władzę, istniało poważne prawdopodobieństwo, że dyktator może zostać rozszarpany na strzępy. Zrządzeniem Opatrzności w pobliżu znalazł się wtedy jednak Nostromo – nieoceniony facet – któremu razem z grupą włoskich robotników sprowadzonych do pracy na budowie Państwowej Kolei Centralnej udało się wybawić Ribierę z opresji, przynajmniej na jakiś czas, Mitchell zaś zdołał później przewieźć wszystkich

dostojników własną łodzią na jeden z parowców kompanii, „Minerwę”, która szczęśliwym trafem wpływała właśnie do portu.

Kapitan spuszczał czcigodnych uciekinierów na linie przez wybity w ścianie otwór, a tymczasem tłuszcza, która wylała się z miasta i rozpełzła wzdłuż całego brzegu, wyla i pieniała się u stóp budynku od frontu. Następnie Mitchell musiał popędzić zbiegów na drugi koniec mola i był to zaiste desperacki wyścig. Panowie postawili wszystko na jedną kartę, a uratował ich ponownie Nostromo, facet jeden na tysiąc – tym razem stojący na czele robotników portowych – utrzymał bowiem molo pomimo ataków motłochu, dając uciekinierom czas na dotarcie do czekającej na nich łodzi z flagą kompanii na rufie. Na zbiegów leciały kije i kamienie, padły strzały, rzucano w nich też nożami. Kapitan skwapliwie pokazywał potem widniejącą nad jego lewym uchem i skronią podłużną bliznę po ranie od przymocowanej do kija brzytwy – ulubionej, jak twierdził, broni „najgorszego sortu miejscowych czarnuchów”.

Tęgi, podstarzały już kapitan Mitchell nosił wysokie spiczaste kołnierzyki i krótkie bokobrody, lubił białe kamizelki, a pomimo swej postawy znamionującej pompacyjną powściągliwość, w rzeczywistości był niesłychanie rozmowny.

– Ci dżentelmeni – mówił, patrząc z ogromną powagą – zmuszeni byli pierzchać jak zajęce, szanowny panie. Ja zresztą też. Przyzwoitemu człowiekowi niektóre formy śmierci... hm... wydają się... hm... niesmaczne. A mnie również tłum zatłukłby wtedy na śmierć. Oszalała tłuszcza, szanowny panie, nie rozróżnia ofiar. Opatrzność sprawiła, że ocalenie zawdzięczaliśmy mojemu capatazowi de cargadores, jak nazywano go w mieście, człowiekowi, który, kiedy odkryłem jego prawdziwą wartość, był zaledwie bosmanem na jakimś włoskim statku, dużym drobnicowcu z Genui, jednej z niewielu europejskich jednostek, jakie dopłynęły z ładunkiem do Sulaco przed ukończeniem budowy Kolei Centralnej. Porzucił służbę na morzu, gdyż zaprzyjaźnił się tutaj z kilkoma wielce czcigodnymi ludźmi, swoimi rodakami, choć także, jak przypuszczam, aby poprawić sobie warunki bytowe. Jestem, szanowny panie, całkiem niezgorszym znawcą ludzkich charakterów. Zatrudniłem go na stanowisku brygadzysty naszych robotników portowych oraz zarządcy mola.

Był tylko tym, nikiem więcej, bez niego jednak señor Ribiera już by dzisiaj nie żył. Tenże sam Nostromo, szanowny panie, człowiek absolutnie bez skazy, szybko stał się też postrachem wszystkich złodziei w mieście. Mieśliśmy tu wówczas plagę, prawdziwą plagę, inwazję różnych *ladrones* i *matreros*, złoczyńców i morderców z całej prowincji. Napływali do Sulaco wtedy już od tygodnia, zwąchali bowiem koniec rządów Ribieri. Połowę tego morderczego motłochu stanowili, szanowny panie, zawodowi bandyci z Campo, nie było jednak wśród nich ani jednego, który by nie słyszał o Nostromie. A jeśli chodzi o miejscowych *leperos*, wystarczył im widok jego czarnych bokobrodów i białych zębów. Dosłownie drżeli przed nim. Oto, co może zdziałać siła charakteru.

Można by zatem powiedzieć, że życie tych dżentelmenów właściwie własnoręcznie ocalił sam Nostromo. A kapitan Mitchell nie opuścił ich, dopóki nie zobaczył, jak dysząc ciężko, cali przerażeni i roztrzęsieni, ale bezpieczni, osuwają się wreszcie na wygodne aksamitne kanapy w salonie „Minerwy”, rzecz jasna w pierwszej klasie. Do samego końca uważał za stosowne, by do byłego już przecież dyktatora zwracać się per „Wasza Ekscelencjo”.

– Nie mógłbym zachować się inaczej, szanowny panie. Ten człowiek spadł na dno. Wyglądał jak upiór, był posiniaczony i pokiereszowany na całym ciełe.

Tym razem „Minerwa” nie zarzuciła kotwicy – kierownik kazał jej natychmiast wypłynąć z portu. Oczywiście nie można było wyładować towarów, a pasażerowie podróżujący do Sulaco odmówili naturalnie zejścia na ląd. Słyszeli strzały i dobrze widzieli walki na wybrzeżu. Odparty tłum skierował zatem całą swoją energię na atak na urząd celny, ponury, wielookienny i wyglądający na nieukończony budynek stojący dwieście jardów od gmachu OSN, jedyny prócz niego dom w pobliżu portu. Mitchell najpierw nakazał dowódcy „Minerwy” wysadzić „tych dżentelmenów” na pierwszym postoju poza Costaguaną, po czym powrócił łodzią na ląd, aby zobaczyć, co da się jeszcze zrobić w celu ochrony firmowego majątku. Tak jak i własność kolei, obronili go europejscy mieszkańcy Sulaco, czyli sam kapitan Mitchell oraz zespół inżynierów drogowych z pomocą włoskich i baskijskich robotników, którzy lojalnie stanęli

przy swoich angielskich szefach. Również robotnicy portowi, obywatele republiki, zachowali się pod dowództwem swojego capataza bardzo dobrze. Banda wyrzutek mocno mieszanej krwi, głównie Murzynów, wiecznie skonfliktowanych z innymi klientami najtańszych spelunek w mieście, z rozkoszą skorzystałaby bowiem z okazji, aby pod korzystnymi dla nich auspicjami niepokojów społecznych załatwić osobiste porachunki. Nie znalazł się pomiędzy nimi ani jeden człowiek, który nie patrzyłby kiedyś z przerażeniem na rewolwer Nostroma wycelowany z bezpośredniej bliskości w jego twarz lub nie wystraszyłby się jego stanowczej postawy w innych okolicznościach. Capataz był, powiadali, „mężczyzną jak się patrzy” – który pomimo swojego temperamentu darzył ich zbyt wielką pogardą, aby używać wyzwisk wobec nich – i niestrudzonym nadzorcą, którego z powodu owej wyniosłości należało się bać jeszcze bardziej. No i proszę! Oto tamtego dnia stanął na ich czele, zniżając się nawet do tego, by temu i owemu rzucić czasem jakąś żartobliwą uwagę.

Takie przywództwo dodawało im ducha, więc prawdę powiedziawszy, jedyną szkodą, jaką zbuntowanej hołocie udało się wyrządzić w mieście, było podłożenie ognia pod stertę podkładów kolejowych, które, przesycone kreozotem, dobrze się paliły. Główny atak na stację rozrządową, na gmach OSN, a zwłaszcza na urząd celny, którego trezor, jak wszyscy świetnie wiedzieli, zawierał pokaźny skarb w postaci licznych sztab srebra, nie powiódł się zupełnie. Nawet prowadzony przez starego Giorgia hotelik stojący samotnie w pół drogi pomiędzy portem i miastem uniknął spłądrowania i zniszczenia, chociaż nie za sprawą jakowegogoś cudu, lecz dlatego że mając na widoku kasy pancerne, napastnicy początkowo go zlekceważyli, później zaś zwyczajnie zabrakło im czasu, żeby się przy nim zatrzymać – Nostromo i jego cargadores za mocno już wtedy na nich napierali.